

K SIĘ KRĘCI..

„Mosorny Groń”

Mała ojczyzna – Stabieńszczyzna

Joanna Matusiak

Kilkadziesiąt chałup rozrzuconych wokół jeziora Białe, z okien czasem widać domy sąsiadów, czasem tylko okoliczne wzgórza, łąki, po których tłumnie przechadzają się bociany, las, nad którym krążą drapieżniki, drugi brzeg jeziora, gdzie mieszkają bobry.

Stabieńszczyzna – jej nazwa wywodzi się prawdopodobnie od imienia litewskiego boga Stabasa, któremu dawni mieszkańcy tych ziem sypali kopce z kamieni. Dziś ich miejsce zajęły krzyże na rozstajach dróg. Dawno temu była tu ponoć żydowska karczma, teraz podobną funkcję pełni okoliczny sklep i bar, do których trzeba iść kawał drogi przez pola. Spora część mieszkańców to rolnicy, jednak niewielu się dobrze powodzi. Życie nie jest tu łatwe, zimą czasami tak zawieje, że najpierw musi przejechać traktor, który zrobi koleiny, by potem można było nimi przejść. Starsi umierają, młodzi szukają swojego miejsca daleko stąd, czasem całe rodziny wyjeżdżają w nadziei na łatwiejsze życie. Domy, które uda się sprzedać za bezcen, zamieniają się w letnie daczki, zaś te, na które nie ma chętnych, niszczeją, zarastają. O dawnej obecności ludzi w tym miejscu świadczą tylko wielkie sady owocowe, które wiosną bielą się z daleka, a jesienią uginają od jabłek.

W jednym z najpiękniejszych zakątków wsi, nad jeziorem, stoi stary, drewniany dom. Kilka razy zmieniał już właścicieli. Jego obecnym gospodarzem jest Waldek Czechowski – reżyser, podróżnik, twórca inicjatywy „Eko-Art-Village”. Jego chata to prawdziwa oaza sztuki. Zimą pomieszkują tu Luka – malarz i rzeźbiarz. O jego bytności świadczą przedziwne obrazy malowane na fragmentach starych desek, podwórzowy Światowid strzegący tego miejsca swymi czterema twarzami, czy indiański łapacz snów upleciony z kolorowych nici i zawieszony na trójnogu w głębi podwórza. Bywali tu też poeci. Dzieła jednego z nich zdobią ściany i niskie sufity tej stuletniej chaty, w której zachowano tradycyjny wystrój. Pomiędzy starym piecem a drewnianym stołem można przeczytać: „Jaki ja, taki świat”. Czasem chałupa napawała się ciekawym. Dziś

BBC, który przez lata przygotowywał relacje z krwawych wojen toczących się w azjatyckich dżunglach. Przyjechali też Hiszpanie, których ogniste flamenco, grane wieczorami przy ognisku, porywało do tańca.

Kończące obóz Święto Wioski okazało się wielkim sukcesem. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat spotkała się cała okolica. Odświętnie ubrani mieszkańcy przyszli podziwiać swoje dzieci, które wystąpiły w specjalnie dla nich napisanej sztuce – baśni opowiadającej o skarbie ukrytym na jeziorze Wigry. Sceną było całe podwórze, na którym ustawiono makietki zamków i klasztoru. Po przedstawieniu część rodziców nagle gdzieś zniknęła, lecz pojawiła się za chwilę, niosąc talerze z ciastami, soczewiakami, pierogami. Ognisko, śpiewy i tańce przy muzyce Kapeli Źródlanej skończyły się dobrze po północy.

Nie było szans nie przyjechać na Stabieńszczyznę w następnym roku. Dzieci, jeśli tylko udało im się dopaść Waldeka odwiedzającego swój dom, zasypywały go pytaniami, czy i w te wakacje będzie obóz.



i przyrodzie masywu Jaworzyny nie do naprawienia, Zakopane – zapchane samochodami, zatrute spalini, przeurbanizowane do granic wyobraźni, Szczyrk – kolejki do kolejki, szosa zapchana samochodami, ogólny bałagan. Broni się tylko Szczawnica, ale tam wielkość ośrodka jest dużo mniejsza niż w pozostałych miejscach.

Idee wyrażone przez wójta były realizowane w Alpach w latach 60. minionego stulecia, kiedy zupełnie nie liczone się z przyrodą gór, krajobrazem, walorami naturalnymi terenu. Skutkiem tego w Austrii (na przykład) są fragmenty gór tak „przystrojone” infrastrukturą narciarską, że dla normalnej turystyki górskiej, wędrowni, wypoczynku w górskim krajobrazie straciły zupełnie znaczenie. Miejscowi ludzie nastawieni są wyłącznie na obsługę zjazdowego ruchu narciarskiego, a letnia turystyka piesza niemal na tych terenach zanikła. Trudno przecieć za turystykę górską uważać wycieczki podwożone autokarami do możliwie najwyższego położonego parkingu i godzinny spacer do piwiami nad górskim stawem. Niestety, ale taki model wykorzystania gór ukształtował się w wyniku tworzenia infrastruktury narciarskiej. Ale w Alpach to jeszcze jest do przyjęcia ze względu na rozległość i wysokość tych gór. Są całe masywy prawie nie przeobrażone i eksplorowane przez turystów, wspinaczy oraz narciarzy („niewyciągowych”). Jednak jeśli chodzi o przyrównywanie jakiegokolwiek masywu beskidzkiego do alpejskiego, to naprawdę, nie chcę tego komentować, że nawet już nie jest śmieszne.

Jaki ma sens kolejka linowa dla „pokonania wysokości w celu penetrowania masywów górskich” w warunkach beskidzkich, gdzie na niemal każdą większą górę wychodzi się z dolin w 2 do 4 godzin? Dokąd pójdą turyści wysiadłszy z kolejki na Mosornym? W Alpach ma to jakiś sens, kiedy turysta chce wejść na jakiś szczyt trzytysięczny, a ma mało czasu. Wtedy korzysta z kolejki, by oszczędzić trzy-cztery godziny mozolnego podchodzenia np. z 800 m.n.p.m. na 2200 m.n.p.m. Wówczas jest szansa wejścia na szczyt i powrotu w

Środobogór odciąż na Bał dla ma tam ni wejść kolejki Babia nym. żyć re a racz Parkie niedaw w kier liczni prawn z nimi się” w stycje jak wi „Umo Gmin Narod 2001). woju t stytut odpow nia Oś cji. Ja! korzys zbędno pod tr da mo sem w

Mie roboci cje kc nia gastro

Stabieńszczyzna to ludzie gościnni. Zdarzało się, że w drodze na zajęcia spotykaliśmy na kolejnych rozstajach dróg miejscowe gospodynie, które zapraszały nas na obiad lub kolację. Nikogo nie zrażał nasz wegetarianizm, choć czasami jego interpretacja kulinarna była zaskakująca (kalfior na smalcu). Czasem natrafialiśmy na przedziwne kontrasty. Kiedyś będąc w gościnie u jednej z rodzin w bardzo skromnym wnętrzu i śpiewając z gospodarzami ludowe pieśni, nagle przerwaliśmy w pół słowa, gdyż do izby wszedł młodzian wyglądający jak ktoś, kto przed chwilą opuścił warszawską giełdę. Postać ta, która okazała się być synem gospodarza, odziana w śnieżnobiałą koszulę i elegancki garnitur, wyjęła zza pieca plastikową tablicę, powiesiła ją na ochlapanej tuszczem ścianie i zaczęła rysować wykresy, z których jasno wynikało, że najlepszą rzeczą, jaką możemy w tej chwili zrobić, to zapisać się do jednego z towarzystw ubezpieczeniowych. Siedzieliśmy wstrząśnięci kontrastem rysującym się pomiędzy postacią i otoczeniem, a jednocześnie zadumani, że nawet w biednej chacie dopadła nas ta część cywilizacji, przed którą uciekamy.

Inne dające do myślenia spotkanie odbyło się w przeddzień kończącego obóz święta. Do naszej chałupy weszła delegacja kobiet, które wręczyły dwa półmetrowej wysokości sękacze. Był to dar wioski w podziękowaniu za pracę z dziećmi.

Minał rok i oto znowu stoimy na wzgórzu i patrzymy na błękit jeziora i błotniaki latające nad wodą. Jakbyśmy wrócili do domu. Znowu będziemy ze studni w opuszczonym sadzie wyciągać uwieszone w niej żaby, dowiemy się do kogo w tym roku wróciły bociany, ile młodych wyprowadzą i dlaczego nie ma na jeziorze łabędzi.

Przed galerią, w której odbywają się zajęcia, czekają dzieciaki. Czerdziesiątka. Wydorosłały przez rok, spowężniały, sporo też nowego drobiazgu przydreptało.

Oprócz zajęć plastycznych i teatralnych były wyprawy uzyczone przez wójta gimbusem. Wypełnione po dach muzyką pomknęły do Wigierskiego Parku Narodowego. Niektóre z dzieci w muzeum, podczas oglądania wystawy